N^TRO 42
ROZMAITOSCI WARSZAWSKIE.
Utile dulci.
PISMO DODATKOWE
DO GAZETY KORRESPONDENTA WARSZAWSKIEGO.
we Środę dnia 29 *Października* 1828 *Roku.*

I.

DZIEWCZYNA SIERŻANTEM.
Powieść z wypadków roku 1809.

(Ciąg dalszy.)

Junosza przyiechawszy do Bydgoszczy zastał iuż w tém mieście znaczną liczbę obywateli z departamentu, którzy tam zbierali się dla obmyślenia środków obrony. Zewsząd zbiegali się ochotnicy, nadsyłano konie, pieniądze, żywność i dostawiano nakazanych rekrutów. Stósownie do wydanego rozporządzenia naywyższéy władzy, Rada departamentowa zwołana przez naczelnika powstania departamentowego, zacnego Prefekta G...... zaięła się urządzeniem siły zbroynéy. Mianowała Rotmistrzów na dowódzców każdego Powiatu, a Junosza iako dawny oficer, został Rotmistrzem Powiatu Brzesko-Kuiawskiego. — Jego zdrowy rozsądek, znana poczciwość i odwaga, zjednały mu zaufanie u wszystkich, którzy się pod iego chorągiew garnęli. W ciągu dni czterech iuż liczył przeszło sto pięćdziesiąt ludzi w swoim oddziale. Codziennie ćwiczył go w robieniu bronią i w obrotach woiennych, aby w razie spotkania się z nieprzyiacielem mógł mu śmieléy w oczy zayrzeć. Tydzień iuż upłynął iak nasz stary chorąży wypełniał te obowiązki; gdy nad wieczorem wróciwszy do swoiéy kwatery, znużony całodzienną musztrą, zastał młodego chłopaka w wieyskim ubiorze, który czekał na niego.

— No, i cóż powiesz chłopcze? rzekł do niego: zapewne chcesz zaciągnąć się do woyska?

— Tak iest odpowiedział chłopiec, nieśmiałym i drżącym głosem.

— No, to dobrze! Ale coś (iak na ochotnika) mówisz bardzo nie śmiało. Nie z taką to miną przychodzą młodzieńcy, którzy staią dobrowolnie pod sztandarami oyczyzny. Cóż to znaczy?

—Ah! ia z własnéy woli przychodzę..... ia pragnę służyć w woysku..... Ale..... Na te słowa zaciął się głos w piersiach owemu ochotnikowi; nayżywszy rumieniec wystąpił mu na twarz i nawet łzy stanęły w oczach.

— Chłopcze! zawołał Junosza, co to-i bie? przystąp tu do mnie, spoyrzyy m w oczy..... Ale cóż to iest? te rysy twarzy? ta boiaźń?... Nie, to bydź nie może....

Nie było nikogo w pokoiu. Mniemany ów ochotnik padł do nóg Junoszy i zawołał: Oycze! ia to iestem!

— Oniemiał Junosza z podziwienia, ale miłość rodzicielska dopominała się nayprzód o swoie prawa: kilkakrotnie uści-

skał córkę, a potém dopiero zapytał iéy: Ale zkądże się tu wzięłaś w tym ubiorze, co tobie przyszło do głowy?

— Oycze! odpowiedziała, postanowiłam dzielić twóy los i niebezpieczeństwo, a czując się na siłach, chcę wypłacić ten dług oyczyźnie, któryby wypłacili moi bracia, gdyby ich Bóg z tego świata nie był zabrał. Przebacz żem ci zaraz w domu nie powiedziała o moim zamiarze, ale obawiałam się twego zakazu. Pierwszy to i ostatni raz móy oycze nie byłam szczerą dla ciebie.

I radość i obawa, koleyno walczyły w sercu Junoszy. Jako stary żołnierz, cieszył się, że mężkie serce biie w piersiach iego córki; iako oyciec, obawiał się, aby trudy woyny i los oręża nie wydarły mu téy iedynéy iego pociechy. Długo ieszcze opierał się żądaniu Kasi, ale nareście zwyciężony iéy stałością, zezwolił.

Na drugi dzień zatém Panna Katarzyna ukazała w woltyżerskim mundurze. Junosza ukrywaiąc iéy stan przed wszystkiemi, wziął ią za swego ordynansa; tak więc nie mięszaiąc się z tłumem żołnierstwa, bezpieczna pod okiem oycowskiém, zaczęła odbywać kampanią.

Wkrótce oswoiła się ze swoim stanem. Nauczyła się musztry, nabrała śmiałości; wesoła i żywa, niktby iéy za kobietę nie mógł poczytać. Zapytywany Junosza, zkąd wystarał się o tak rażnego chłopaka, odpowiadał, że to iest daleki krewny, którego rodzice oddali mu pod opiekę.

Przez czas nieiaki podjazdy polskie zasłaniały departament Bydgoski, od napadów Austryackich. — Lecz gdy Jenerał Mohr z całą dywizyą podstąpił ku Toruniowi, natenczas iedna część woyska i pospolitego ruszenia, zamknęła się w Toruniu, a druga stanęła około Bydgoszczy, i utworzyła linią dochodzącą aż do siły zbroynéy departamentu Kaliskiego i Poznańskiego. Do téy drugiéy części należał Junosza.

Gdy tak Wielko-Polska własnym prawie zostawiona siłom, w poświęceniu się obywateli znalazła swoię obronę, a wkrótce i przeciw nieprzyiacielowi skutecznie działać mogła, główny korpus woyska Polskiego stoiący na prawym brzegu Wisły; pobiwszy nieprzyiaciela pod Górą i Grochowem, umyślił pociągnąć do Galicyi, a w dawnych Woiewództwach Polski obudzaiąc ducha narodowego, zmusić woysko Austryackie do ustąpienia z Xięztwa Warszawskiego i do obrony własnych granic. Wiadomo powszechnie iak świetny skutek uwieńczył te usiłowania. Ale nie iest naszym zamiarem opisywanie kompanii z roku 1809, wspomnieć o niéy tyle tylko możemy, ile nam do powiązania wypadków powieści iest potrzebną.

Odebrano wiadomości w Wielkiéy Polszcze, że Xiążę Józef ku Lublinowi wyruszył. Mężny Jenerał Dąbrowski, w tak wysokim stopniu posiadaiący zaufanie żołnierzy i obywateli, przesunął się przez oddziały nieprzyiacielskie, krążące po kraiu, od Warszawy aż pod sam Poznań i Kalisz, i objął dowództwo nad siłą tworzącą się w Wielkiéy Polszcze. Wiedząc z doświadczenia, że w woynie więcéy może znaczy mężny umysł, zaufanie w własnych siłach i bezpieczeństwie, aniżeli wielka liczba żołnierzy, postanowił wyprawić oddział ze stu kilkudziesięciu koni złożony, któryby od Sieradza środkiem kraiu puściwszy się, przedarł się przez Galicyą i połączył z woyskiem Xięcia Józefa.

Wyprawa ta, nie wróżyła wprawdzie materyalnéy korzyści, ale postrach, który przeymie nieprzyiaciela na tę wiadomość, że się w tyle iego woyska okazali Polacy, wieść, co wszystko pomnaża, głosząca, że korpus Wielko-Polski łączy się z korpusem Poniatowskiego; śmiałość i nadzieia, która wstąpi w serce mieszkańców, niewyrachowane przynieść mogą skutki.

Wybrano więc ochotników na tę wyprawę. Jéy dowódzcą został Junosza, którego doświadczeniu i znaiomości mieysca bardzo ufał Wódz Naczelny. Odebrawszy Rotmitstrz instrukcyę i rapporta, które miał Xciu Poniatowskiemu złożyć, ruszył wesoło, a przy nim córka; któréy siły powiększały się ciągłém hartowaniem, i która iuż naówczas za męztwo okazane w utarczce pod Strzelnem otrzymała stopień sierżanta i zaprawiła się do wszelkich trudów i iazdy konnéy. Szczęśliwie udał się im początek wyprawy. Spędzili cząstkowe podjazdy nieprzyiacielskie, zniszczyli transport żywności i ammunicyi, który ku Częstochowie wyprawiono, a dostawszy się w obszerne lasy koło kuźnic Konieckich leżące, mogli byli niemi prócz niewielkich przerw aż pod Kozienice w cichości pociągnąć, ale nie ten był cel ich wyprawy, nie taki rozkaz naczelnego wodza.

Już oddział Austryaków wyprawiony od woyska które oblegało Częstochowę, puścił się w pogoń za niemi, nie było czasu do stracenia.

Przeprawiwszy się przez Pilicę niedaleko Suleiowa, między Opocznem i Białaczewem, bocznemi puścili się drogami, i zatrzymali się, iakto iuż wspomniałem w lasach niedaleko Końskich.

O parę mil ztamtąd, leży miesteczko Przysucha, po większéy części od żydów osiadłe. Wieczorem, był to właśnie dzień świąteczny, siedziało tam w karczmie przy iednym stole kilku chłopów i w milczeniu dopiiało swoich półgarcówek, a w drugim rogu izby trzech Austryackich żołnierzy paliło fajkę i coś po niemiecku szeptało. Ostrożność i boiaźń, iaka zwykle w czasach woyny wszystkich ogarnia, zaięła mieysce ochoczéy zabawy. Żydówka karczmarka krzątała się koło ognia, gdy nagle wszedł z wesołą i żwawą miną młody chłopak, w wieyskiéy siermiędze.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, rzekł.

— Na wieki wieków Amen, odpowiedzieli chłopi, uchylaiąc kapeluszów na to święte słowo.

— No, cóż tu u was słychać? moi bracia mówił daléy przybyłec.

— Nic: odpowiedział krótko naystarszy z chłopów; a Wasze kto iesteś i zkąd się zjawiłeś.

— Ja zkąd iestem? Dosyć z daleka. Ale daycie no piwa karczmarko, muszę sobie garło odwilżyć, nim na wasze zapytanie odpowiem, nalał sobie szklenicę, a niosąc ią do ust swoich: do was gospodarzu, ozwał się do owego chłopa: Jestem aż z pod Sandomierza, zaięli mię Cesarscy z wozem i z końmi, i zapędzili aż w Wielką-Polskę. Pozbył człowiek i woza i koni, i teraz pieszo trzeba wracać do domu. Ale i cóż począć: Bóg dał Bóg wziął; ieszcze pół biedy, że się człowiekowi zostało kilka graycarów na drogę, a tak o głodzie lub o proszonym chlebie wracać nie musi. W téy właśnie chwili żydówka wyszła z izby.

— Byliście w Wielko-Polsce? i cóż tam robią nasi? rzekł wieśniak nieco poufalszym i cichszym tonem.

— Nasi? powtórzył nieznaiomy parobczak. Jacy nasi? Czyli ci, przydał po cichu wskazuiąc na siedzących przy stole żołnierzy?

— A ktoby się o nich pytał! szepnął gospodarz; chyba mnie rozumieć nie chcecie. Nie bóycie się, to są Niemcy, oni nie rozumieią po polsku.

— Dobrze im idzie! odpowiedział nieznaiomy: hurmem siadaią na koń i może tu nie długo zawitaią.

— Dałby Bóg mój bracie! ozwał się drugi wieśniak.

— Ale powiedźcie mi gospodarzu, mówił daléy parobczak, którym (iak się może domyślaią czytelnicy) był nasz sier-

żant niewieści, wiele stoi Austryaków w tém mieście?

— A cóż to was obchodzi? zapytał się gospodarz z niedowierzaniem. Po co się o to pytasz?

— Zobaczycie nie długo dla czego się pytam: nie traćcie czasu i mówcie szczerze. Wierzaycie, że was nie zdradzę.

— Otóż powiem wam, że ich nie ma więcéy iak trzysta kilkadziesiąt iazdy i piechoty.

— Jeżeli to iest szczera prawda, to dobrze. Bądźcie mi zdrowi! może nie długo usłyszycie o mnie. To rzekłszy, wstał, rzucił na stół pieniądze i wybiegł z karczmy.

— Jezus Marya! zawołał ieden z chłopów; cóż to za człowiek? chyba czart w ludzkiéy postaci. Pocóżeście się wygadali przed nim Bartłomieiu?

— A iakże nie odpowiedzieć swoiemu? Oto lepiéy i my póydźmy do domu, nie mamy tu nic do roboty.

Dowiedziałam się o wszystkiém Panie Rotmistrzu, zawołała Katarzyna przybiegaiąc galopem do lasku, przy którego brzegu stał oddział Junoszy. W miasteczku iest trzysta Austryaków. Jeden będzie miał z dwoma do czynienia, to w sam raz. W nocy trzeba na nich uderzyć. Uda nam się niezawodnie.

— Dobrze mówisz sierżancie, odpowiedział Rotmistrz. Dzieci! bądźcie gotowi! skoro tylko światło pogaszą w mieście, ruszymy natychmiast.

Pomyślny skutek uwieńczył ich śmiałość. Z nienacka napadnięci Austryiacy żadnego prawie nie dali oporu, część legła na placu, część poszła w rozsypkę; ieńców nie można było uprowadzać, zabrano tylko woienną kassę regimentu, zniszczono zgromadzone tam zapasy, a postrach padł na całą okolicę.

Dokonawszy tego dzieła, nadedniem samym puścił się Junosza ze swoiemi w lasy, i daléy przebièrał się ku Wiśle. Szybki ich pochód i niespodziane to nayście, a mianowicie przychylność mieszkańców i dokładna znaiomość mieysca, sprawiły że Junosza dostał się bez przeszkody aż w okolice Zwolina.

Tu dopiero doścignął ich oddział nieprzyiaciół od Radomia w pogoń za niemi wysłany. Rozproszywszy go, zwrócili się nad brzegiem puszczy Kozienickiéy ku Gniewoszowu, ale tam dopiero naywiększe zagrażało im niebezpieczeństwo. Oddziały z Janowca i z Kozienic wyprawione, dążyły ku nim i wzmocniony oddział iazdy tuż ich dopędzał. Znużeni długim pochodem stanęli w lasku, który między Granicą a Puławami, do pięknych łąk nadwiślańskich przytyka. Noc użyczyła im cienia swoiego, a nieprzyiaciel rozumieiąc, że iuż ich ma w swoich ręku, zatrzymał się z uderzeniem aż do rana. Pod gaiem od strony Wisły była chatka wieśniaka.— Tam Junosza ze swoią córką stanął, a reszta żołnierzy trzymaiąc konie na uzdzienicach, puściła ie na żyzne łąki na paszę. Od rana samego, uchodząc przed pogonią, nie wzięli żadnego posiłku. Okoliczne wioski zaięli Austryacy; nie było zkąd wystarać się o żywność, ale odwaga prawie z rozpaczy pochodząca, dodawała im siły.

W chacie Rotmistrz zastał starego wieśniaka, którego zdziwiło zjawienie się tak niespodzianego gościa.— Słuchaycie przyiacielu, rzekł do niego Junosza, czy tu iest niedaleko mieysce, gdzieby Wisłę na koniu przepłynąć można?

— Nie próbowaliśmy tego Wny Panie odpowiedział wieśniak, ale zdaie się, żeć teraz gdy woda nie zbyt iest wielka i bystra, toby tego dokazać można.

— To dobrze, a teraz powiedz nam czy nie słyszeliście czego o woysku Polskiém?

— Słyszałem Wielmożny Panie, że ma bydź niedaleko, gdzieś z tamtéy strony Wisły.

Wygrana! krzyknął uradowany Junosza pokręcaiąc wąsa. Kasu! Sierżancie, powtórzył poprawiaiąc się, póydź zwołay naszych wiarusów.

Bracia, rzekł do nich, gdy zgromadzili się na iego rozkaz, iesteśmy u celu naszéy podróży. — Na tamtéy stronie Wisły iuż słychać o woyku Polskiém.— W tych to samych okolicach mężny Czarniecki wpław przeprawiał się ze swoimi, póydziemy za iego przykładem. Ale nie w nocy, ani iako uciekaiący przeprawimy się na drugą stronę, ieszcze raz zayrzymy w oczy nieprzyiacielowi. Spocznijcie na chwilę, ale mieycie baczność na naymnieysze poruszenie Austryaków.

Ledwie co świtać zaczęło, iuż odgłos bębnów i tentent koni oznaymił, że dążą ku nim iak po naylepszą zdobycz. Szczupły szwadron Polski w szyku woiennym stał spokoynie widząc coraz to bardziéy zbliżaiącego się nieprzyiaciela, zwolna ku Wiśle cofać się zaczął. Uderzyła nań iazda nieprzyiacielska, ale naprzód wystrzałami z karabinków przywitana, straciła kilkunastu ludzi. Poszła potem na pałasze, ale mimo dzielnego natarcia nie udało się im rozbić Polaków. — Już stanęli nad samą Wisłą, która niskie maiąca brzegi z obu stron, ułatwiała wdarcie się na ląd.

— Poddaycie się! zawołał Austryacki dowódzca.

— Bóg i oyczyzna! wykrzyknął Junosza, a raz ieszcze uderzywszy na nieprzyiaciela, znaczną zadał mu stratę. Za mną bracia zawołał a zwróciwszy konie wszyscy rzucili się w rzekę. Austryiacy sypali na nich grad kul ale czterech im tylko zabili a kilku ranili; nie śmieli puścić się w pław za niemi: a tak garstka walecznych stanęła bezpieczna na przeciwnéy stronie.

(Dalszy ciąg nastąpi)

II.

Wieland i iego współcześni.

(Ciąg dalszy)

Wezwany przez xiężne Sasko-Weymarską do czuwania nad wychowaniem iéy dzieci, znalazł Wieland na iéy dworze ludzi, godnych aby go słuchali i umieiących go cenić: Seckendorff, Einsiedel, Knebel, Voigt i Bertu h, znakomici w różnych zawodach, Musaeus wynalazca powieści uymuiących, Herder obdarzony tak wielkim umysłem, Goethe geniusz powszechny, oświecaiący swemi promieniami zbiór nauk ludzkich i wszystkie krainy wiadomości, poezyi i sztuki; Szyller nakoniec tak prosty i szczery w swym zapale, tak przyiemny w swoich wzniosłych marzeniach. Różne okoliczności zbliżyły Wielanda do Herdera i Gethego i zawiązały trwałą przyiaźń pomiędzy temi wielkiemi ludźmi. Lecz co za sprzeczność! Wieland i Szyller! Jednak zaledwo się poznali, aliżci zaczęli się szanować i kochać nawzaiem; wspólność uczuć szlachetnych łączyła ich z sobą; Wieland został współpracownikiem Szyllera, który wydawał w ówczas pismo Merkury, a gdy autor Wilhelma.—Tella zstąpił do grobu, naywymownieysze żale wylały się z duszy przyiaciela, którego przeznaczeniem było iść za *Szyllerem*, i przypatry-

wać się iak znikali przed nim naysławnieysi iego współcześni.

Wyliczenie prac Wielanda, iako wydawcy Merkurego, byłoby trudném albo raczéy niepodobném. Jego pióro obfite pisało we wszystkich przedmiotach. Lubił nadewszystko wybierać z historyi ieden z tych charakterów podobnych sobie, ieden z tych taiemnych osób, które można zginać do wszystkich przypuszczeń i zaprawiać na nich dowcip krytyka. Tym to sposobem skreślił obraz *Peregryna Proteusza*, filozofa Cynickiego, z nadzwyczayném podobieństwem do prawdy, iako zapaleńca ze słabą głową nie zaś iako tego zmysłowego świętoszka i samoluba, tego oszusta filozofii, którego nam odmalował Lucyan. *Agathodaemon* będący dodatkiem Peregryna, przedstawia ciekawą teoryą życia Apoloniusza z Tyany. Tłómaczy tam autor naturalnym sposobem, cuda przypisywane temu teurgiście, przez Filostrata iego życio-pisarza.

To dzieło wyszło wtedy na widok publiczny, kiedy Mesmer nauczał swych uczniów i leczył choroby, kiedy hr. Saint-Germain przekonywał o swém odwiecznem istnieniu damy dworu Francuzkiego; kiedy Cagliostro, Gessner i Schropfer, grali pomyślnie przed łatwowierną publicznością swe farsy fi[illegible]czne i mistyczne; kiedy nakoniec otworzyła się dla łatwowiernych nowa Jerozolima Swedenburga.

Abderici, romans który był cząstkowo umieszczany w Merkurym, iest drugą nauką psychologii, nie mniéy znakomitą, żywym i zabawnym obrazem małych woien domowych i godnych politowania skarg, z któremi się odzywaią wpośród małego miasta intryganci i ciemna arystokracya. Tę satyrę Grecką, wymierzoną przeciw teraźnieyszym mieszkańcom miast, korporacyom i urzędnikom niższego rzędu, umiano tak dobrze ocenić, że krzyk powszechny godny samego miasta Abdery, powstał w całych Niemczech. Wieland przewidział burzę i oczekiwał spokoynie, dopóki niechęć, któréy był przedmiotem nie wycieńczyła się sama, i nie bronił obrazów, nie maiących innych wad nad tę, że były bardzo dokładne.

Przychodzimy do okresu w którym zasady filozoficzne Wielanda, doznały ieszcze raz zmiany, któréy wpływ daie się spostrzegać w iego *powieściach rozmaitych*, będących naśladowaniem tak zwanych *Powieścio-zbiorów* (1) i przypominaiących styl Minnezyngerów, równie iak Jana Sachs, obeymuiących w ogóle, moralną naukę wyższą i czystszą iak dotąd Autor podawał. Widzimy że coraz więcéy gardzi cynicyzmem i obrazem rozkoszy zmysłowéy; sam tylko występek wybiera za przedmiot swoich satyr i przebacza szlachetnem uczuciom duszy, to uniesienie które dawniey wyszydzał. Twierdzi z Peregrynem Proteuszem, iednym ze swych bohatyrów, że ieżeli część umysłowa człowieka, nie wznosi się do wyższych kraiów, część materyalna upadać musi; i że ten kto się nie pragnie wznieść wyżéy nad zakres pospolitego sposobu myślenia, prędzéy czy późniéy zniży się do zwierzęcości. Ta nauka iest zupełnie przeciwna nauce Wielanda rozlanéy w pierwszém wydaniu Agatona. Nie zaniechał także ogłosić powtór-

(1) *Fabliaux* były to powieści wierszem dawniey we Francyi używane.

nego wydania tego dzieła, poprawionego i przerobionego podług nowych widoków i nowych zasad, które późniey przyiął. Plan tak zmienił, że Agaton zamiast coby się dał pokonać Hippiaszowi, udaie się do filozofa Archita, a wyobraźnia obłąkana ieszcze sofizmatami, przedstawia mu go iako wzór cnoty, którego ten młody adept Świątyni Delfickiéy na próżno szukał w długich swoich podróżach. Ten filozof słucha zdań młodzieńca i naucza go na wzaiem, iakim sposobem pogodził rozum z wiarą, iakim sposobem ustalił prawa i granicę duszy i ciała, umysłu i zmysłów, władz których odwieczna walka dręczy słabe człowieczeństwo. Podday część materyalną, mówi Architas, dozorowi duszy; lecz niech iéy władza nie będzie tyrańską. Biada temu kto się obchodzi po królewsku z ciałem, któremu powinien bydź posłuszny! biada temu kto ie chce zniszczyć pod pozorem że iest niewolnikiem! teorya Architasa trzymaiąca średnie mieysce pomiędzy spirytualizmem a materializmem, daie nam ostatnie rysy wyobrażeń filozofii Wielanda przy schyłku dni iego.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

III.

Wiadomości o niektórych pokoleniach żydowskich w Azyi.

Prace doktora Wolf missyonarza Angielskiego na wschodzie, odsłaniaią nam kilka pokoleń żydowskich, których kolebką są ieszcze czasy moyżeszowe. O rodzie dzieci Rechaba, wiadomo iuż było z dochodzeń Beniamina Todeli. Pisarz ten utrzymywał ieszcze w wieku trzynastym, że go odkrył w okolicach Mekki; ale twierdzenie to zagrzebane w iednêm z tych dzieł, które tylko uczeni z professyi wartuią, mogło się zdawać tylko nie pewnym domysłem. Pan Wolf potwierdza w całości to świadectwo. Pewnego dnia spotkawszy w Arabii kilku żydów Arabskich, zapytał ich, czy nie ma u nich *Rechabitów.* »Oto ieden z nich,« odpowiedziano mu, pokazuiąc człowieka z postawą marsową, z fizognomią wydatną, ubranego po arabsku i który się trzymał głowy swego konia. Rechabita przyiął exemplarz biblii arabskiéy, obok z textem arabskim, przeczytał z niego kilka mieysc i odpowiedział głosem grzmiącym na zapytanie missyonarza. Gdy go ostatni zapytał, ktoby on był, w odpowiedzi przeczytał mu 35 rozdział z Jeremiasza i zawołał: *Jestem synem Rechaba.* Wezwał następnie missyonarza, aby zwiedził iego pokolenie i ile możności iak naywięcéy przywiózł z sobą biblii, po czém wsiadł na konia i zniknął na równinach. Pan Wolf puścił się w podróż tą samą drogą, którą się udał syn Rechaba i spostrzegł iego pokolenie podzielone na trzy części niedaleko miasta Mekki. Liczą 60,000 Rechabitów; żyią oni pod namiotami, iak ich przodkowie i gardzą uprawą roli. Są obrzezani, wyznaią czysty iudaizm i posiadaią Pentateuki, xięgi Samuela, xięgę Królów, Izaiasza, Jeremijasza i proroków drugiego rzędu. Mówią, że oyczyzną ich była zawsze puszcza, w któréy dziś mieszkaią, wyiąwszy tę epokę, w któréy przybyli do Jerozolimy z powodów wytłomaczonych przez Jeremiasza. Mówią po Arabsku i wszyscy znaią ięzyk Hebrayski. Obstawali przy prawach Moyżesza z bronią w ręku przeciw Machometowi, który ich zwyciężył, ale nie ze wszystkiém pokonał. Jest o nich podanie, że dziewica z ich pokolenia otruła była Machometa.

Są z nich wyborni ieźdzcy. Gdy się zbliża iaka karawana z Mekki, wysyłaią naprzeciw niey iednego z pośród siebie, który domaga się zwyczaynego haraczu; w razie odmownym, oddala się taki posłaniec z szybkością strzały i wnet potém chmura ich iazdy wypada iak piorun na Karawanę. Pan Wolf zwiedził następnie Samarytanów. Jest ich 50 rodzin w okolicy Gruzwalin Sichemu, na pochyłości góry Garyzim; maią ich za ludzi poczciwych, otwartych i gościnnych; w ich rozumieniu spodziéwany Mesyasz pokaże się na górze Garyzim, a nie na górze Synai. Z całego pisma uznaią tylko Pentateuki za xięgi święte. Zarzucano im, że oddaią cześć gołębiowi arki Noego, ale oni utrzymuią że to iest tylko Symbol nadziei. W ciągu podróży dowiedział się P. Wolf, że niedaleko Bassory znayduie się pokolenie maiące pochodzić od Abrahama i dochowuiące nazwisko małżonki tego oyca patryarchów, Beni Katurach. Po zjawisku tak szczególném w narodzie żydowskim, który rozproszony nie przestaie istnąć narodowo i religiynie, znowu szczególną iest rzeczą że w przeciągu 2,500 lat zniknęło na pozór 10 pokoleń, które podług wyrazów proroków zjawić się maią i połączyć z Izraelem, aby dokonać świetnego zmartwychwstania dzieci Abrahama. Niespokoyna ciekawość mnożyła dotychczas poszukiwania, aby odkryć mieysca w których się ukrywaią zapomniane 10 pokoleń wygnanych synów Izraela, ale wypadkiem tych badań były same domysły. Jeśli nam wolno wyiawić zdanie nasze, nazwiemy Afghanów potomkami tych 10 pokoleń. Sławny Foster, który napisał bardzo ciekawe dzieło o Indyach, spostrzegał na fizognomii ich cechy narodu żydowskiego.

Pan Jonnes który po nim kray Afghanów zwiedził, wnioskował również, że pochodzą od dziesięciu pokoleń i zdanie swoie opierał na téy szczególnie okoliczności iż pochodzenie takie przypisuią im właśni ich sąsiedzi i że oni sami dzielą w téy mierze zdanie swoich sąsiadów. W rzeczy samey wszystkie narody, a szczególnie barbarzyńskie nienawidzą tak bardzo żydów, iż gdyby rozumienie Afghanów i sąsiadów ich nie zasadzało się na prawdzie, nie wiedzieć dla czego mieliby przy nim obstawać. Pan Elphinstone autor ciekawego opisu poselstwa swego do Kabul, nie dzieli tego zdania, z téy przyczyny, że między ięzykiem Afghanów, zwanym *Pusztu*, a hebrayskim, żadnéy nie widzi styczności, ale z drugiéy strony missyonarze Seramporscy, którzy w ostatnich czasach długo w kraiu Afghanów przebywali i doyrzale ięzyk ich zgłębili, utrzymuią, że w żadnym ięzyku wschodnim nie znaleźli tyle źródłosłowów hebrayskich, ile w ięzyku Afghanów. Wszyscy zaś podróżni i missyonarze, iednozgodnie przypisuią Afghanom przymioty, potrzebne do wielkich przedsięwzięć, są oni tak silni i waleczni, iż pod nazwiskiem Patanów, długo byli naylepszymi żołnierzami w woysku Wschodnio-Indyyskiem. Robillasowie, których waleczności doświadczyli Anglicy na polu bitew stanowią część tego narodu. Żyią oni w zupełnéy niepodległości, oddaią się nieustannie ćwiczeniom woiennym i może ze wszystkich ludów mahometańskich, naymniéy u nich znana nietolerancya. Uważano, że oprócz pokolenia graniczącego z Indyami, które z powodu téy bliskości, uległo zepsuciu obyczaiów, Afghanowie ze wszystkich ludów Azyatyckich, naymniéy są zepsuci. Jeśli istotnie są reprezentantami dziesięciu pokoleń, które kiedyś panować maią na wschodzie, iuż teraz zasługuią na to, iako naypotężnieysze podpory Persyi i Hindostanu.